NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „DRWĘCY."

Nr. 19. | Nowemiasto, 8 maja 1926 r. | Rok 3.

Ewangelja

św. Jana rozdz. 16, wiersz 23—30.

Onego czasu rzekł Jezus do uczniów Swoich: Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam: Jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię Moje, da wam. Dotychczas o niceście nie prosili w imię Moje. Proście, a weźmiecie, aby radość wasza była pełna. Tom wam powiadał przez przypowieści. Przychodzi godzina, gdy już nie przez przypowieści mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu oznajmię wam. W on dzień w Imię Moje prosić będziecie. I nie mówię wam, iż Ja będę Ojca prosił za wami. Albowiem sam Ojciec miłuje was, żeście wy Mnie umiłowali i uwierzyliście, żem Ja od Boga wyszedł. Wyszedłem od Ojca, a przyszedłem na świat; zaś opuszczam świat, a idę do Ojca. Rzekli Mu uczniowie Jego: Oto teraz jawnie mówisz, a żadnej przypowieści nie powiadasz. Teraz wiemy, że wszystko wiesz, a nie potrzebać, żeby Cię kto pytał. Dlatego wierzymy, żeś od Boga wyszedł.

Nauka o prawdziwej pobożności

W pojmowaniu prawdziwej pobożności myli się i ludzi bardzo wielu, wystawiając ją sobie według urojeń natchnionych przez namiętność. Kto wiele pości, sądzi, że jest pobożnym, chociażby serce jego pałało tajną nienawiścią. Obawiając się zwilżyć język winem, a nawet i wodą, ze skrupułu, aby nie zgrzeszył niewstrzemięźliwością, ma przytem upodobanie w potwarzach i obmowach, uwłaczających bliźniemu i szarpiących sławę jego. Inny uważa się za pobożnego, gdyż codziennie trzepie bezmyślnie wielką ilość modlitw, a potem grzeszy uporem, goryczą i obrazą bliźniego tak w domu, jak poza domem. Niejeden wspiera datkiem ubogich' ale serce jego nie poczuwa się do przebaczenia nieprzyjacielowi. Inny daruje winę temu, co mu ubliżył, ale nie myśli o zapłaceniu długu, jeśli go do tego wyrok sądowy nie zmusi. Wszyscy ci ludzie uważają się za pobożnych i może za takich uchodzą w oczach świata, ale w rzeczy dalecy są od pobożności. Na czemże więc polega prawdziwa pobożność? Na doskonałej miłości Boga, czyli raczej pobożność sama jest doskonałą miłością Boga. Jest ona piękną miłością, gdyż jest ozdobą duszy i oczy majestatu Bożego spoczywają na niej z upodobaniem. Jeśli ta miłość okazuje się w dobrych uczynkach, zowie się miłością silną; a jeśli sprawia, że czynimy dobre chętnie, troskliwie i ustawicznie, zowie się pobożnością. Strusie mają wprawdzie skrzydła, ale nigdy ich nie używają do lotu; kury mają lot ciężki i nizki; orły zaś, jaskółki i gołębie wzbijają się wysoko, mają lot szybki bujają długo w powietrzu. Podobnież są grzesznicy tylko ludźmi na tej ziemi i pełzają po niej. Sprawiedliwi, którzy jeszcze nie doszli do doskonałości, wznoszą się przez dobre uczynki ku niebu, ale tylko rzadko, powoli i z trudnością. Ale są jeszcze prawdziwie pobożne dusze, które, jak orły i gołębie, wznoszą się szybko, prosto i bez wysileń ku Bogu. Słowem: pobożność nie jest niczem innem, jak tylko chybkością i żywością ducha, którym silna miłość w nas, albo my przez nią działamy dobrze według możności. Jak ta silna miłość znagla nas do przestrzegania przykazań Bożych, tak doskonała miłość, czyli pobożność znagla nas do skwapliwego i gorliwego przestrzegania tych przykazań. Kto nie zachowuje wszystkich przykazań Bożych bez wyjątku, nie jest ani sprawiedliwym, ani pobożnym; aby być pobożnym, trzeba pilnie i żywo baczyć na wszystko dobre, co zdziałać możemy.

Tak pisze św. Franciszek Salezy w swej „Filotei." Stąd należy wnosić, że prawdziwa pobożność nie polega na szczególnych nabożeństwach i ćwiczeniu w pewnych dobrych uczynkach, lecz na gorliwem, pilnem i ustawicznem pełnieniu przykazań i obowiązków z miłości ku Bogu.

Św. Izydor oracz.

(10 maja.)

Święty Izydor urodził się w Hiszpanji z bardzo ubogich, lecz bogobojnych rodziców. Pracą rąk zarabiał na utrzymanie. Około życia Świętego osnute są nader miłe opowiadania. Jedno

z nich głosi, że kiedy raz gospodarz Izydora wyrzucał mu, że próżno traci czas na modlitwie i póżno przychodzi do pracy, ujrzał nagle dwóch aniołów, stojących obok niego z całym zaprzęgiem gotowym do orki. Miało to oznaczać, że za czas spędzony na modlitwie niebo śle Izydorowi swą doraźną pomoc.

Inne cudowne zdarzenie z życia św Izydora przedstawia miłość jego ku bliźnemu. Izydor wraz z żoną swoją Foribją zajęty był pracą w polu; wtem przychodzi żebrak i prosi o wsparcie. Co mu dadzą, kiedy sami biedni. Żyją z pracy swych dziesięciu palców, z dzierżawy kawałka pola. Ale Izydor, który pod łachmanami żebraków widział zawsze Chrystusa, nie mógł znieść, by się nie podzielić choćby ostatnim kąskiem chleba. Dać co się ma, było jego zasadą. Wysyła więc żonę swoją do chaty i mówi jej: daj co masz! Marja wiedziała, że wszystkie zapasy wyczerpane, bo właśnie pracowali nad zdobyciem nowych, ale poszła. I o dziwo! Znajduje w chacie zasobów poddostatkiem. Ze łzami wdzięczności w oczach nasycili biedaka i chwalili Boga za Jego dobroć.

Mimo swego niewykształcenia, bo na szkoły dla ubogiego stanu jego rodziców nie stać go było, był to umysł naprawdę głęboki, który brał rzeczy poważnie. W bardzo dawnych czasach, kiedy to pisma należały do największych rzadkości, istniały specjalne szkoły, w których mądrość życiową, ujętą w krótkie a treściwe, zdania, przez pamięć wpajano uczniom do serca. Taką szkołą mądrości dla Izydora było słowo Boże, słyszane ne kazaniach. Co tylko usłyszał na kazaniu zapadało mu głęboko w serce, jak ziarno w pulchną rolę i zapuszczając szeroko swe korzenie, oplatało całą jego duszę.

Mimowoli przypomina się tu ewa powiastka o pustelniku, który opuścił swą pustelnię i udał się do jednej z uczelni w Aleksandrji aby tam nauczyć się mądrości. Trafił właśnie, jak jeden z profesorów zaczynał swój wykład od słów: „Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego". Usłyszawszy to jedno zdanie, opuścił uczelnię i wrócił do pustelni mówiąc: to mi narazie wystarczy, a gdy to spełnię, wrócę tu po więcej. Z takiem usposobieniem podatnem na wszelką dobrą naukę i gorącem pragnieniem doskonalenia się słuchał słowa Bożego Izydor św. Druga rzecz, która doprowadziła go do wysokiej świętości — to modlitwa. Życie jego to jedno pasmo modlitwy, począwszy od kilku mszy św. rano, których codziennie słuchał, poprzez rozmyślania przy pracy w polu, aż do wieczornego pacierza.

Taka prosta droga uświętobliwienia się stoi dla każdego otworem. Przeważna część ludzi nie ma tego szczęścia, by się oddawać wysokim głębokim studjom, ale zato wszyscy powołani są jako św. Izydor, do czerpania ze skarbów mądrości Bożej i bogacenia niemi swojej duszy. I jest to wielką pociechą dla niejednego; bo o wielu uczonych świat zapomniał, albo wie tylko mała garstka, przed św. zaś Izydorem chyli czoło do dziś dnia cała Hiszpanja i skłania się przed nim cały świat katolicki.

Z dymem...

— Pan życzy sobie pokoju?

— Tak.

— Mamy właśnie wolny pokój na pierwszem piętrze, z przepysznym widokiem.

— Och, na pierwszem piętrze, to dla mnie za drogo; wolę mieszkać na drugiem, bo nogi mam jeszcze zdrowe, również jak i ręce — dodał odbierając niemal przemocą walizkę z rąk zbyt nadskakującego sługi.

— Nie dotykaj się tego, mój kochany, bo tu są rzeczy kruche.

Janie, zaprowadź pana do numeru 15.

— Nie jeżeli łaska, to do 23, bo to nasz pokój uprzywilejowany, przechodzący jakoby z ojca na syna. My bowiem, Pindelscy jesteśmy wiernymi waszymi klijentami. Właśnie przed dwudziestu pięciu laty zatrzymałem się poraz ostatni, jak dziś, w waszym hotelu, jeszcze za czasow pańskiego poprzednika.

— W takim razie pokaż pokój pod numerem 23— wydał rozkaz właściciel hotelu, myśląc sobie zarazem, że pomimo swojej wierności tacy klijenci nie zbogacą go zapewne.

-- Tak, tak właśnie odrzekł pan Pindelski, a w dodatku w tym pokoju, o ile sobie przypominam, jest i kominek.

— Cóż po kominku w lipcu? — mruknął służący.

— Bywają dni słotne lub chłodne i w lecie mój kochany, a wtedy ogień na kominku bynajmniej nie zawadzi. .

* * *

Pan Maciej Pindelski, sześćdziesięcio letni kawaler był skąpcem i samolubem do najwyższego stopnia. Mieszkał on na wsi ze swoją siostrzenicą, Paulinką, która pielęgnowała go troskliwie w razie ataków reumatyzmu, znosząc z anielską cierpliwością jego starokawalerskie zrzędzenie i kaprysy. On zas sądził, że odpłaca jej się za to aż nadto hojnie, powtarzając od czasu do czasu:

— Po mojej śmierci odziedziczysz wszystko com zebrał przez całe życie i będziesz mogła wyjść zamąż podług swego upodobania.

Ale pomimo apoplektycznej cery i reumatyzmu pan Maciej zdrów był zresztą jak rydz i Paulinie, która już skończyla dwadzieścia pięć wiosen, groziła perspektywa zostania starą panną. Ilekroć jednak ktokolwiek ze znajomych nadmienił o tem staremu samolubowi, on zacierając ręce, zwykle odpowiadał:

— Ależ ja jej wcale nie zabraniam stanąć na kobiercu, jeżeli sobie tego życzy i jeżeli znajdzie się ktoś taki, co zechce ją zaślubić dla jej pięknych ócz.

To przypuszczenie prawie nieprawdopodobne zwłaszcza w obecnych powojennych czasach, sprawdziło się jednak. Pewien poczciwy młodzieniec, zachwycony przymiotami biednej Paulinki, jej łagodnością, poświęceniem i zaparciem się siebie, oświadczył się o jej rękę, został przyjęty i pomimo gniewu wuja, oraz jego groźby, że wydziedziczy niewdzięczną siostrzenicę. ślub ich odbył się wkrótce.

Miesiąc miodowy trwał jeszcze, również jak i gniew pana Macieja, który właśnie w celu zaspo-

(Ciąg dalszy na 4 tej stronie.)

Wypożyczony zamek

Rodzina węgierska Choltayów była sławna jeszcze z początkiem ośmnastego stulecia. Lecz później zaczęła podupadać, szczególnie wtedy, gdy za czasów pięknej królowej Marji Teresy zaczęły współzawodniczyć o jej względy z panem Grassalkovichem. Doszło do tego, że po skończeniu wojen napoleońskich pan Abraham Chóltay miał długów wyżej uszu. Lecz nie wiele sobie z tego robił. Nie nadarmo przecież się mówi: „im większe długi, tem lepiej można z nich żyć". Na śmierć i życie procesował się z bogatą hrabiowską gałęzią rodziny, z „lokajami", jak ją nazywał. Stale mówił do syna: „Mimo wszystko ty jesteś prawdziwym Choltayem, a nie ten twój wzbogacony kuzyn, hrabia Krzysztof".

Syn jego, Walentyn był ulubieńcem zbankrutowanego arystokraty. Był do tego stopnia przeświadczony, że młody Walentyn naprawi stosunki majątkowe podupadłej rodziny, że otaczał go szczególną jakąś czcią. Gdy byli oby dwaj zaproszeni na ucztę, zawsze sadzał syna na miejscu przeznaczonem sobie,. ‚Tobie się to miejsce należy, młodzieńcze, nie mnie. Jako mój syn masz o jednego przodka więcej niż ja".

Walentyn, żyjąc między wierzycielami i sztuczkami życiowemi ojca, doszedł wnet do przekonania, że nieraz i lew musi zamienić się w lisa, gdy chce się wydobyć z opałów. Zresztą był to ładny chłopak, który wnet zdobył wszystkie serca dam w całym komitacie.

— Ma za wiele krwi w sobie. — mówili zazdrośni rówieśnicy. — Należałoby trochę upuścić!... Działo się jednak odwrotnie, a kobiety coraz więcej go lubiały

Lecz ojcu uprzykrzyło się wreszcie hulaszcze życie swej latorośli.

— No, chłopcze, — rzekł pewnego dnia — o co gramy, o groch, czy o złoto? Już dość tej lekkomyślności, rozumiesz? Wychowałem cię na to, abyś przywrócił dawny blask naszej rodzinie. Na co jeszcze czekasz? Ani skrawek ziemi nie pozostał z naszych starych posiadłości, zamiast pszenicy rosną długi i wnet znajdziemy się bez dachu nad głową.

— Cóż mam począć, ojcze?

— Ciekawe pytanie! Zabierz się do roboty! Syn spojrzał na ojca i odgadł jego myśli.

— Dobrze, — rzekł, wzruszając ramionami — ożenię się.

— To będzie początkiem uczciwej pracy. Ale gdzie się ożenisz, czy tutaj w tym dziadowskim komitacie? Gdybyś się ożenił odrazu z wszystkiemi tutejszemi pannami, to za ich posag nie mógłbyś kupić nawet paczki tytoniu

— Pozostaw to mnie, ojcze. Wiem gdzie bogate niewiasty spędzają lato. Pojadę. Tylko muszę być przyzwoicie ubrany i mieć trochę drobnych.

— Pieniądze się znajdą, ale małżeństwo musi być zawarte w terminie. Szanowni wierzyciele dali mi tylko cztery miesiące czasu.

— Dobrze, — rzekł Walentyn bez wahania — w przeciągu czterech tygodni powitasz w domu synowę, należycie wytapicerowaną miljonami.

— A dotrzymasz obietnicy?

— oto moja ręka.

Podali sobie ręce. Po uścisku Abraham nie pytał syna dokąd zamierza wyjechać. Wkrótce zwołał swoje „hjeny", jak nazywał wierzycieli a ci spodziewając się świeżych miljonów, wyposażyli Walentyna we wszystko, co mu było do podróży potrzebne.

Po kilku dniach Waletyn wyjechał. Wystrojony był jak angielski dandys. Wyglądał wspaniale.

— Dokąd jedziesz, mój synu? — zapytał ojciec w ostatniej chwili.

— Do Baden Baden!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Miasto Baden Baden należało w pierwszej połowie ośmnastego stulecia do najulubieńszych miejscowości kąpielowych w Europie. W osławionych salach kasyna spotykali się najelegantsi i najbardziej awaturniczy kawalerowie, oraz ogrywali tam jedni drugich. Było rzeczą naprawdę trudną współzawodniczyć z tymi rycerzami szczęścia, lecz mimo to, gdy czytamy kronikę owczesnego sezonu, spotykamy zdanie, że „nabab węgierski, monsieur Walentyn de Choltay" odgrywał tam pierwszą rolę „króla mody".

Walentyn mógł dokazać tej sztuki, gdyż grał ostrożnie i ze szczęściem. Z wygranych pieniędzy, sprawił sobie wspaniały powóz angielski, konie wierzchowe i ubierał się jak prawdziwy „lew" paryski.

Swiat ówczesny był nastrojony romantycznie, a bogate córeczki na wydaniu łamały sobie głowy, kim może być ten węgierski nabab. Jakie kłopoty go gnębią że zawsze trzyma się na uboczu i z nikim nie rozmawia? I wnet dokoła naszego bohatera zaczęły krążyć legendy: jaki on bogaty, ile zamków i dóbr posiada, tam gdzieś w dzikich okolicach Bałkanu, czy na Węgrzech.

Walentyn wiedział o tych pogłoskach, lecz im nie zaprzeczał. Na razie wcale nie zwracał uwagi na bogate dziewczęta. Z powodu jakiejś aktorki pojedynkował się z całym szeregiem kawalerów rosyjskich, francuskich i angielskich. A gdy uważał, że sława jego zwycięstw wzrosła do odpowiednich wyżyn, wybrał się na najwspanialszy bal sezonu.

Wśród świetnego towarzystwa dostrzegł, że w kącie sali siedzi samotnie milutka, mała dziewczynka. Siedziała skromnie, jak przystało na dobrze wychowaną pannę i od czasu do czasu spoglądała na czuwającą po lewej stronie dość zwiędłą damę, prawdopodobnie ciotkę, raz na stojącego po prawej stronie starszego mężczyznę, który widocznie był jej ojcem.

Postać tego pana działała dość odstraszająco gładko wygolone policzki zdradzały surowość a siwe bokobrody miały wygląd wojowniczy. Trzymając w ręku szkła, przyglądał się uporczywie najbardziej nawet śmiesznym tancerzom.

Kawalerowie, węsząc za posagami, nie zwracali uwagi na naszą grupkę i nie zapraszali milutkiej dziewczyny do tańca. Zapewne tylko dlatego, że była biedna. „Jeżeli tak", myślał Walentyn, „należałoby się zająć tym kopciuszkiem i zrobić z małej królowę balu: niech się inne niewiasty irytują!"

(Ciąg dalszy nastąpi.)

kojenia swej zemsty przybył do Warszawy. Postanowiwszy nie zapisać ani grosza siostrzeniey znalazł się teraz w kłopocie, jak rozporządzić swem mieniem. Komu je zostawić? Nie kochał tak dalece nikogo z krewnych, ani z przyjaciół. Zbogacić państwo swemi pieniędzmi? Nigdy!... Dość już mu płacił podatków. To, że ktoś inny, niż on sam miałby korzystać z jego kapitału, wydawało mu się poprostu zbrodnią!

Wreszcie przyszła mu świetna myśl do głowy. Oto umieści wszystko, co posiada, w jakiem Towarzystwie Ubezpieczeń jako dożywocie i tym sposobem sam tylko będzie się cieszył uciułanym przez siebie groszem. Miał jeszcze dobre oczy, dobre zdrowie, a w dodatku renta dożywotnia — to jakby rękojmia długiego życia.

Zebrawszy więc wszystkie swoje oszczędności, przyjechał do stolicy.

* * *

— Ci ludzie w hotelu nie wyglądają na bardzo uczciwych — myślał, zamknąwszy za sobą drzwi swego pokoju i wyjmując sporą paczkę banknotów za swojej walizki, której strzegł dotąd jak źrenicy oka. — Z drugiej strony przywozić ze sobą pieniądze do tak dużego miasta to rzecz niebardzo bezpieczna, bo tu na każdym kroku napotkać można jakiegoś rzezimieszka. Szczęściem jednak mam tu wyśmienitą kryjówkę z której już ś. p. ojciec mój korzystał.

To rzekłszy, zbliżył się do kominka, złożył pieniądze w dymniku i zamknął starannie drzwiczki.

— Wybornie! Nikomu nie przyjdzie na myśl szukać ich tutaj.

Uspokojony tem pan Maciej wyszedł niebawem do miasta i zaczął odwiedzać kolejno wszystkie Towarzystwa Ubezpieczeń, aby się przekonać, które z nich najkorzystniejsze przedstawi mu warunki. Po długich rozprawach powziął nareszcie stanowczą decyzję i wyznaczono mu godzinę, o której nazajutrz miał podpisać w biurze odnośne dokumenty.

Tymczasem jednak niebo się zachmurzyło i zerwała się gwałtowna burza, połączona z ulewą, tak, że kiedy pan Maciej, zawsze oszczędny wrócił pieszo do hotelu, był przemoknięty do nitki.

— Jakże deszcz pana zmoczył — zawołała właścicielka hotelu z uprzejmym uśmiechem — Szczęście jednak że Jan rozpalił porządny ogień w pańskim pokoju, abyś się pan mógł ogrzać.

— Ogień!...

Z krzykiem podobnym raczej do ryku dzikiego zwierzęcia, niż do ludzkiego głosu starzec roztrącając gospodarzy i służbę hotelową, przebiegł jak szalony schody, wiodące na drugie piętro, otworzył drzwi swego pokoju, i...

Rrzeczywiście jasny ogień palił się na kominku,

Pan Maciej załamał ręce, wydał głuchy jęk i jak martwa bryła runął na posadzkę.

* * *

— To apopleksja — orzekł lekarz, wezwany natychmiast, ale już napróżno. — Trzeba zawiadomić rodzinę.

Nazajutrz przybyła Paulinka z mężem, aby oddać staremu sknerze ostatnią chrześcijańską posługę i odziedziczyć spadek, którego chciał ją pozbawić. Służący bowiem widząc, że ogień nie chce się palić i dym bucha z kominka zajrzał do dymnika i wydobył paczkę banknotów, za co otrzymał sowitą nagrodę.

Oto jak zamiast pieniędzy zemsta starego skąpca poszła z dymem.

ROZMAITOŚCI

Jak wygwizdano Wilhelma II.

Sławne przedsiębiorstwo filmowe B-cia Pathé wpadło na pomysł sfilmowania b. cesarza Wilhelma w Doorn, prawdopodobnie w tej myśli, że cały świat z wielkiem zadowoleniem będzie patrzał jak Wilhelm II rządzi... w Doorn, albo też jak mało dziś obchodzi miljony jego współobywateli. Wilhelm jeszcze chętnie się zgodził. Sądząc z występów zdegenerowanego cesarza możnaby sądzić, że będzie z niego conajmniej dobry aktor filmowy. Kilka dzienników do wiadomości o zamiarze B-ci Pathé i Wilhelma dało komentarz, że właściwie szkoda, że tak późno Wilhelm odkrył w sobie drzemiące talenta, bo można było świat uchronić przed katastrofą wojny światowej.

Niestety. Film i ekran wykazał, że Wilhelm nie nadaje się nawet na aktora filmowego. W Sheffeldzie, gdzie film ten puszczono po raz pierwszy na ekran, publiczność angielska zrobiła w kinie demonstrancję, grożąc zdemolowaniem lokalu, gdyby dyrekcja nie zaprzestała wyświetlenia filmu.

Wśród gwizdów, krzyków i tupania nogami film zeszedł z ekranu.

Listowy na szczudłach.

Dosyć osobliwie wyglądają pocztyljoni, przenoszący korespodencję i przesyłki do oddalonych wiosek, położonych na zachodzie Danji.

Danja przecięta jest, jak wiadomo, siecią kanałów, waskich cieśnin i jezior, utworzonych przez niezliczone wysepki i diuny nadmorskie.

Poziom wody w tych zamkniętych wąskich zalewach nie podlega działaniom przypływu i odpływu, ale dużą rolę odgrywają panujące w tych stronach wiatry.

Gdy stan normalny wody waha się pomiędzy 1 i pół do 2 metrów, obniża się on znacznie wskutek oddziaływania stałych cyklonów.

W takich wypadkach komunikacja łodziami staje się niemożliwą, gdyż woda jest zbyt płytka.

I poczciwi pocztyljoni przebywają płytkie cieśniny i zatoki na szczudłach, krocząc jak bociany, nad zmarszczonem lustrem fal.

Widok ten jest tem zabawniejszy, że Danja posiada wszelkie urządzenia techniczne, godne państwa nowoczesnego. Szczudła, zabytek z lat minionych, tłomaczą się oszczędnością: nie opłaca się wprowadzać innego rodzaju komunikacji z oddalonemi wioskami, liczącemi zaledwie kilkunastu mieszkańców,

Wesoły kącik.

Przed i po podatku.

X. — Coś tak zmarniał! Dwa tygodnie cię nie widziałem.

Z. — Wracam z kasy skarbowej, zapłaciłem podatek... A tobie co się stało?

X. — Jak widzisz — mam dopiero podatek do... zapłacenia!